

Nauka i wydawniczy biznes spekulacyjny. Z jednej strony naukowcy i osoby pragnące się kształcić, z drugiej - wielkie wydawnictwa naukowe, które maksymalizują zysk poprzez minimalizowanie nakładów, maksymalizowanie ceny i celowanie w grupę bogatych nabywców instytucjonalnych.

Dwa teksty: Christophera M. Kelty i Pawła Grabarczyka

## **Czytanie tekstów naukowych może być przestępstwem**

Christopher M. Kelty

*Christopher M. Kelty jest profesorem nadzwyczajnym na wydziale antropologii i studiów informatycznych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles (UCLA). Jest autorem książki „Dwa bity: kulturowe znaczenie wolnego oprogramowania”*

## **Znikająca wirtualna biblioteka (library.nu)**

<http://www.aljazeera.com/indepth/opinion/2012/02/2012227143813304790.html>

*tłum. Jacek Kwaśniewski*

1. marca 2012

Los Angeles. W zeszłym tygodniu przestała istnieć strona internetowa library.nu. Blok międzynarodowych wydawnictw naukowych oskarżył portal o piractwo i przekonał sąd z Monachium do wydania nakazu jego zamknięcia. Library.nu (poprzednio znana jako Gigapedia) oferowała - według różnych szacunków - od czterystu tysięcy do miliona książek. Za darmo.

I to nie jakichś tam książek - powieści, romansideł czy najnowszych bestsellerów, ale książek naukowych. Były to podręczniki, specjalistyczne opracowania, mało znane monografie, biografie, instrukcje techniczne, nowatorskie prace z mechaniki, matematyki, biologii, nauk społecznych i humanistycznych.

Były tam teksty z nakładów już wyczerpanych, ale wciąż podlegające ochronie praw autorskich oraz wydania najnowsze, teksty zeskanowane amatorsko i profesjonalnie wykonane ebooki. Były teksty angielskie, francuskie, hiszpańskie, rosyjskie a czasem także chińskie i japońskie. Nawet pornografia była naukowa: przewodniki i prace naukowe na temat branży porno. Strona z internetowego podziemia, ściągana jak zwykły kryminalista a równocześnie wolna od pornografii – to już był sukces sam w sobie.

Dla branży wydawniczej, zamknięcie library.nu było zwycięstwem w kampanii przywołującej do porządku niesforny Internet. Jej użytkownicy zareagowali natomiast gniewem i smutkiem a niektórzy decyzję sądu odczuli jak smagnięcie fatalizmu. Kim jednak są ci kryminaliści, ci barbarzyńcy u bram, gotowi powalić na kolana naszą gospodarkę informatyczną?

To studenci i naukowcy, praktycznie z każdej części naszego globu.

## **Piractwo edukacyjne**

Nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem, że świat jest pełen ludzi, którzy bardzo chcą się uczyć. I taki właśnie powinien być świat. Naukowcy ciężko nad tym pracują, aby ludzie jak najwięcej czytali, uczyli się, myśleli i tworzyli nowe. Użytkownicy library.nu byli takimi potencjalnymi badaczami: zanurzeni w ogólnym pędzie ku wiedzy, chcieli się uczyć, dyskutować, eksperymentować i pisać, tak samo jak ludzie z wyższych uczelni.

Być może byli kiedyś studentami, ale poszli do pracy, założyli rodziny. Czasem ich do tego zmuszamy – dajemy im przez cztery lata zakosztować uroków zdobywania wiedzy a potem zostawiamy z kredytami, które zaciągnęli na kształcenie. W innych przypadkach sami zaczęli zdobywać wiedzę, w taki czy inny sposób.

Co więc oznacza zamknięcie library.nu? Wydawcy sądzą, że to wielki sukces w walce z piractwem: że będzie prowadzić do większych dochodów i większej kontroli nad tym, co kto kupuje jeśli już nie do tego, co kto czyta. Natomiast piraci, czyli ludzie, którzy tworzą i prowadzą takie portale, myślą, że zamknięcie library.nu spowoduje jedynie powstanie tysiąca nowych stron tego typu, silniejszych i lepszych niż poprzednie.

Obie strony pomijają fakt, że globalny popyt na kształcenie się i prowadzenie badań nie jest zaspokajany przez obecnie funkcjonującą branżę wydawniczą. I nie może być, jeśli pozostaniemy przy jej obecnym modelu biznesowym i cenach, jakie dyktuje. A użytkowników library.nu – tych barbarzyńców u bram branży wydawniczej i uniwersytetów – jest legion.

Żyją na całym świecie, ale przede wszystkim w Ameryce Środkowej i Południowej, w Chinach, we Wschodniej Europie, w Afryce i w Indiach. Trudno podać ich dokładną liczbę, ale rzut oka na wzmianki o library.nu na Tweeterze albo komentarze o tej stronie na blogach, wskazują, że jej głównymi użytkownikami jest klasa średnia. To nie są ludzie biedni, ze slumsów czy zapadłych dziur, ale nie mają za dużo pieniędzy. I to oni stanowią 99% użytkowników (dla porównania z 1% EuroAmerykanów).

Mogą to być także nauczyciele lub naukowcy: pracujący w szkołach, na uniwersytetach lub w firmach. Jeszcze inni są zupełnie poza elitą ludzi wykształconych, mają jakieś zajęcia a pragnienie nauki jest ich czysto prywatną pasją. Wszyscy oni tworzą globalny popyt na to, co my – intelektualna elita świata – wciąż im mówimy, aby robili: aby czytali i myśleli samodzielnie oraz zanosili cywilizację, rozwój i modernizację swoim narodom.

## **Dzieląc się z innymi, pomagasz im**

To library.nu umożliwiała takie kształcenie a nie wydawnictwa. Była świetną stroną z recenzjami książek, w końcu nazywała się biblioteką a nie księgarnią. Nie była zapchana reklamami ani nie miała automatów sugerujących kolejne i kolejne książki. Dawała proste odpowiedzi na proste zapytania wyszukiwawcze i posiadała recenzje czytelnicze z około czterystu tysięcy lub więcej pozycji.

I tylko dlatego, że zawierała linki do innych stron, na których były pełne, zdigitalizowane wersje książek (strony typu sharehosting, na przykład file.it, magaupload.com czy mediafire.com), wciągnięto ją na listę organizacji uznawanych za przestępcze.

Ale library.nu w ogóle nie spełniała jakichkolwiek kryteriów legalności, bo wszelki obrót zeskanowanymi, ściągniętymi skądś a nawet legalnie zakupionymi zdigitalizowanymi wersjami książek jest całkowicie nielegalny. Idzie to tak daleko, że niebawem nielegalne będzie nawet zachowanie w pamięci książki nieprawnie nabytej.

Ale library.nu tych książek nie sprzedawała a jedynie umożliwiała korzystanie z nich. Jeśli zarabiała, to nie na tekstach, ale na reklamach. I jak Napster w roku 1999, library.nu ułatwiała odkrycia poprzez możliwość orientowania się w gustach muzycznych czy naukowych innych osób i odkrywanie takich powiązań między nimi, jakich żaden algorytm rekomendacyjny typu Amazon nie będzie w stanie nigdy uczynić. Połączone wysiłki wydawców oraz przemysłu filmowego i fonograficznego, by poddać ten rynek kontroli, kryminalizuje skutecznie nie tyle kradzież, co dzielenie się z innymi pomysłami, uczenie się i tworzenie nowego.

Użytkownicy library.nu nie musieli sami zasilać strony tekstami, aby z niej korzystać, choć byli za to premiowani. Były oczywiście formalne i nieformalne reguły jak można podnieść swój status użytkownika library.nu. Strona rozwijała się klasycznie, dodając to tu to tam jakieś elementy i powiększając swoją infrastrukturę, kiedy to było konieczne. Administratorzy mieli absolutną kontrolę, kto i jak może w tym rozwoju brać udział. Czynili tak bez wątplenia po to, by chronić stronę przed czyhającymi na nią agentami FBI i internetowymi nowicjuszami.

Nawet pobieżny obserwator mógł zauważyć, że częste zmiany na stronie library.nu były skutkiem gry w kotka i myszkę. Władze i wydawcy wciąż szukały sposobu jak uderzyć w tę społeczność z całą mocą prawa. I w końcu odkryły darczyńców, którzy stronę finansowali. Cóż, nawet piraci mają karty kredytowe.

## **Koniec samokształcenia**

Zimą 2011/2012, równocześnie z próbą uchwalenia anty-internetowych ustaw SOPA i PIPA, nastąpił szturm na strony typu file-sharing, przechowujące pliki różnych osób z możliwością wymieniać się między nimi. Strona megaupload.com, dzieło ekscentrycznego super pirata Kima Dotcoma – takie nazwisko przyjął w roku 2005 - została zamknięta przez amerykański departament sprawiedliwości. Strona typu torrent btjunkie.com sama zaprzestała działalności w obawie przed procesem.

Przez kilka ostatnich dni przed ostatecznym zamknięciem library.nu to znikająca się pojawiała aż ostatecznie wyświetliła ironiczny napis: „Nasza strona została zamknięta przez domenę .nu” (maleńkie państewko koło Nowej Zelandii). W widocznym miejscu pojawił się link do Amazon.com, do książki pod tytułem Blue Lattitudes o wyprawie kapitana Cooka, opowieści o innego rodzaju piractwie.

Co oznacza zamknięcie library.nu? Po pierwsze, barbarzyńcy i piraci, którzy są przy okazji naukowcami zostali nieźle wkurzeni. Od zawsze wychwalali walory edukacji, zalety uczenia się, wzajemnej pomocy i korzyści z posiadania wiedzy. Jako naukowcy

mówiliśmy wszystkim ludziom, którzy szukali wiedzy, by to robili. I oni właśnie teraz to robili, w ten czy inny sposób.

Mamy więc mnóstwo wkurzonych młodych ludzi z klasy średniej. Niektórzy są źli, by tak rzec – fundamentalnie. Z powodu niesprawiedliwego systemu. Złość innych jest bardziej pragmatyczna, bo muszą teraz wydać sto dolarów na podręcznik (o ile tyle w ogóle mają) zamiast na siebie lub swoich przyjaciół.

Wszyscy oni są źli, bo otworzone ponoć przed nimi nowe perspektywy edukacyjne – ta osławiona obietnica gospodarki informatycznej – właśnie zniknęły za sprawą decyzji monachijskiego sądu nakazującego portalowi library.nu zaprzestać działalności.

Ale pisarze i naukowcy z Europy i USA są współwinni temu zamknięciu. Wydawcy bronią siebie i swoich zysków, ale czynią to za zgodą, jeśli nie przy aktywnym wsparciu tych, którzy są od nich uzależnieni. Wydawcy twierdzą, że chronią nas, czyli naukowców. A ci barbarzyńcy – ci desperacko pragnący się uczyć – kradną naszą wspólną własność i powinni być za to ukarani. Powinni za to zapłacić.

### **Wydawniczy biznes spekulacyjny**

W rzeczywistości jednak, branża wydawnictw naukowych weszła w fazę podobnej do tej, jaką przeżywały firmy farmaceutyczne w latach 90. XX wieku, kiedy to dystrybucja ratujących życie leków na AIDS była rozmyślnie ograniczana, aby chronić interesy firm farmaceutycznych, ich patenty i zyski.

Porównanie jest może prowokacyjne, bo naukowe monografie ratują życie tylko w sensie metaforycznym, ale z prawnego punktu widzenia sytuacja jest niemal identyczna. Library.nu jest jak lokalne firmy farmaceutyczne w Indiach i Afryce, które również produkowały leki na AIDS nielegalnie przy tym kopiując patenty.

Czemu branża wydawnicza nie chce masowego konsumenta? Tylko z jednego powodu: amerykańskie i europejskie biblioteki są gotowe płacić ceny, które zadowolają wydawców, a właściwie bardziej niż zadowolają – czynią ich nieprzyzwoicie bogatymi.

Zamiast zaoferować naszą pracę po wystarczająco niskich cenach, aby każdy na świecie mógł sobie pozwolić na kupno, wydawcy przyjęli strategię odwrotną – podnosząc ceny coraz wyżej i wyżej aż tylko bardzo bogate instytucje mogą sobie pozwolić na zakup. Wydawcy prac naukowych wybrali jedną z dwóch opcji: niska cena i duży rynek lub bardzo wysoka cena i bardzo mały rynek.

Szkopuł w tym, że przegrywającymi na tej strategii są książki i naukowcy – zwłaszcza najbardziej nowatorskie badania z najlepszych ośrodków naukowych. Branża wydawnicza, jaką mamy dzisiaj, nie potrafi albo po prostu nie chce dostarczać książek na ten potężny światowy rynek ludziom, którzy desperacko pragną je czytać.

Zamiast tego drukuje tyle co nic, często mniej niż sto egzemplarzy i sprzedaje nielicznym bibliotekom po kilkaset dolarów sztuka. A kiedy wydawnictwa naukowe oferują wersje elektroniczne, są one tak szczerlnie owinięte w restrykcyjne warunki licencyjne, że korzystanie z nich jest niezwykle frustrujące.

Jest nawet jeszcze gorzej, bo nasze uniwersyteckie biblioteki nie mogą sobie już pozwolić na zakup tych książek i czasopism a nasze coraz mniej liczne księgarnie nie chcą już ich mieć na składzie. W rezultacie, największe osiągnięcia naukowe znikają w czarnych dziurach wydawnictw naukowych skąd nie ma ucieczki. Tak było aż library.nu i jej następcy wiele z tego dorobku udostępnili szerokiej publiczności

Najważniejszą więc cechą tych stron jest wytyczenie milionom ludzi na całym świecie drogi ku edukacji i nauce. Jedyne pytanie brzmi: po czyjej stronie chcą być europejscy i amerykańscy uczeni?

## Paweł Grabarczyk

udziela wywiadu Igorowi Rakowskiemu-Kłowskiemu

*Dr Paweł Grabarczyk - adiunkt w Katedrze Filozofii Analitycznej Instytutu Filozofii Uniwersytetu Łódzkiego, członek Ośrodka Badań Filozoficznych, redaktor naczelny (wraz z Tomaszem Sieczkowskim) Internetowego Magazynu Filozoficznego "Hybris"*

[Link do nagrania wykładu Pawła Grabarczyka](#) na ten temat. Wykład został wygłoszony 10. maja 2012.

### **Igor Rakowski-Kłowski: Ile publikacji musiał pan zdobyć, żeby napisać doktorat?**

Paweł Grabarczyk: Jeśli uwzględnię artykuły, z których w pracy naukowej korzysta się częściej niż z książek, to ok. 500.

### **A żeby napisać jeden artykuł naukowy?**

- Żeby napisać 16 stron, muszę przejrzeć nawet 50 tekstów.

### **Książki pan kupuje, a periodyki naukowe prenumeruje?**

- Chciałbym, ale wydawcy nie chcą mi ich sprzedać, ustalając ceny na poziomie niewyobrażalnym dla czytelników beletrystyki. Wydana w Holandii książka, którą dostałem od kolegi z Warszawy, kosztuje 400 dol. Skorzystałem z niej trzy razy, ale dzięki niej uzyskałem bibliografię, w której znalazłem 20 kolejnych potrzebnych pozycji. Ich ceny wahały się od 50 do 100 dol. Książka mojego kolegi z instytutu, także wydana za granicą, kosztuje 750 zł, podczas gdy doktorant dostaje ok. 1300 zł stypendium.

Pisząc prace naukowe, korzystamy najczęściej z pism zawierających zbiory artykułów. Co miesiąc, co kwartał musimy mieć świeże numery, żeby wiedzieć, jakie problemy zajmują badaczy w innych państwach. A ceny tych periodyków są jeszcze wyższe niż książek. Zaczynają się od 100-200 dol., a kończą na prawie 21 tys. dol. za roczną prenumeratę. Tyle trzeba zapłacić za "Biochimica et Biophysica Acta". Jest to zbiorcza nazwa dla dziewięciu sekcji tematycznych, które obejmują rocznie ponad sto numerów. Cena jednego z nich wynosi więc ok. 200 dol., czyli ponad 700 zł. Nie da się zamówić jednego numeru ani jednej sekcji. Trzeba od razu zamówić całość. Te ceny mają za zadanie odstraszyć nabywcę indywidualnego. Służą temu, żeby

naukowcy wywierali presję na bibliotekę lub państwo, żeby kupiło dostęp do danego pisma.

### **Jak więc zdobywa pan publikacje?**

- Biblioteka uniwersytecka daje dostęp do wybranego podzbioru zasobów światowych. Jeśli mam szczęście, znajduję tam to, czego szukam. Jeśli nie mam szczęścia, szukam u moich kolegów z innych uniwersytetów, którzy mają dostęp do innych podzbiorów. Czasem piszę do autora, żeby bezpłatnie wysłał mi elektroniczną wersję artykułu lub książki. Jeszcze nie spotkałem się z odmową. Nigdy. Sam także wysyłam swoje rzeczy.

### **Czy te bazy, z których można korzystać w Polsce, są wystarczające do napisania artykułu, który można byłoby opublikować w liczącym się czasopiśmie za granicą?**

- Absolutnie nie - prawie nigdy nie obędzie się bez opisanych powyżej sztuczek, co jest obchodzeniem prawa. W mojej dziedzinie - filozofii współczesnej - jest ok. 40 najpopularniejszych periodyków naukowych. Dopiero od niedawna większość z nich, choć nie wszystkie, mogę znaleźć w łódzkich bazach. I nikt nie wie, jak długo w nich będą. Za rok może się okazać, że straciliśmy do nich dostęp, jest on bowiem co pewien czas negocjowany. Z tego powodu ja i wielu moich kolegów wyrobiliśmy sobie odruch ściągania książek "na zapas" - dopóki nasza biblioteka jeszcze je oferuje.

### **Są jeszcze jakieś inne sposoby?**

- Nielegalne. Począwszy od tego, że można wpisać w przeglądarkę tytuł książki i rozszerzenie PDF, a skończywszy na korzystaniu z takich serwisów jak Library.nu, który specjalizował się w dostarczaniu światu akademickim pism i książek naukowych. Dopóki w lutym 2012 roku go nie zamknięto, był bardzo popularny - szacuje się, że umożliwiał dostęp do 400 tys. książek i zbiorów artykułów umieszczonych w sieci. Na Library.nu pojawiały się nawet książki, których nie było nigdzie indziej w wersji elektronicznej. Ludzie z całego świata skanowali domowe lub biblioteczne egzemplarze z użyciem programów do rozpoznawania tekstu i tworzyli wersje elektroniczne.

### **Kto zamknął Library.nu?**

- International Publishers Association, które działało - jak przedstawiono w oficjalnym oświadczeniu - na rzecz grupy wydawców. Były to najważniejsze wydawnictwa akademickie: Elsevier, Springer Science+Business Media, Cambridge University Press, Oxford University Press.

### **Skąd biorą się te absurdalnie wysokie ceny książek i czasopism naukowych?**

- To tajemnicza sprawa. Koszty, które ponosi wydawca, są mniejsze niż w przypadku beletrystyki. Autor dostaje niewielkie pieniądze albo nic. Podobnie jak recenzent. W świecie naukowym nie istnieje coś takiego jak promocja.

### **To może papier jest drogi?**

- Papier jest znacznym generatorem kosztów, ale jest najmniej potrzebny. Bo nawet jeżeli ktoś ma papierową książkę w bibliotece, to i tak preferuje wersję elektroniczną.

Ze względu na łatwość przeszukiwania. Trzeba pamiętać, że książek akademickich nie czyta się od deski do deski, tylko szuka się w nich konkretnych informacji. Co więcej, wydawcy akademicki przerzucają na autora nawet ciężar pracy nad składem tekstu. Naukowcy otrzymują bardzo szczegółowe wytyczne, jak mają go sformatować.

A zatem wydawcy mogliby zrezygnować z papieru, nie płacą za dużo autorowi, nie płacą nic, albo płacą symbolicznie, recenzentom, a skład mają w większości robiony gratis.

Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: wydawnictwa mają olbrzymie zyski wbrew temu, co oficjalnie głoszą.

**Ktoś mógłby powiedzieć, że naukowcy sami sobie szkodzą, bo z jednej strony narzekają na niskie honoraria, a z drugiej - powodują straty wydawnictw, ściągając nielegalnie książki.**

- I nie widać żadnego prostego wyjścia z tej sytuacji. Naukowcy są w pewnej mierze skazani na określonych wydawców. Nie jest tak, że mogliby zrezygnować i publikować w sieci albo pójść do kogoś innego. W świecie naukowym wydawcy są synonimem jakości. Publikowanie u nich przekłada się na karierę naukową. Gdyby naukowiec sam wydał artykuł, to automatycznie skazałby się na utratę przywilejów, nie zwiększyłby szans na uzyskanie grantów, nie uzyskałby punktów, które są wyznacznikiem tego, czy dobrze pracuje, a które przyznawane są za publikację tylko w niektórych periodykach. Istniejący system to zło konieczne, ale jednocześnie naukowcy nie mają poczucia, że kopiując za darmo książki, robią coś niewłaściwego, gdyż wiedzą, że autorzy nie mają nic przeciwko temu. Kiedy słyszę, że ktoś kopiuje moją książkę z pirackich portali, bardzo się cieszę. Po pierwsze, ktoś ją czyta, po drugie, może ją zacytuje, co sprawia, że szerzą się moje idee. Jakiś czas temu znalazłem swój doktorat na stronie Chomikuj.pl i poczułem się doceniony, bo miałem więcej ściągnięć niż Platon. Na dodatek trudno wskazać, na czym miałyby właściwie polegać różnica pomiędzy ściągnięciem książki z pirackiego portalu a wzięciem jej od kolegi, który ma do niej dostęp przez swoją bibliotekę.

**Naukowcom zależy na szerokim dostępie do prac. Z drugiej strony mamy wydawnictwa, które chcą kontrolować ten dostęp i podnoszą ceny publikacji naukowych tak, żeby było na nie stać tylko bogate uniwersytety. Jak rozwiązać konflikt?**

- Są przynajmniej cztery drogi. Pierwsza to nacisk ze strony państwa. Bo to nie ja jako naukowiec jestem klientem wydawnictw, tylko państwo, które finansuje biblioteki. Jest pomysł, by państwo zażądało obniżenia cen i lepszych opcji dla bibliotek. Bo one nie subskrybują pojedynczych pism, ale są zmuszane do kupowania bardzo dużych pakietów. I wraz z niezbędnymi kupują dużo tych niepotrzebnych rzeczy.

Druga możliwość: wprowadzić zapis, że jeśli jakakolwiek praca jest finansowana ze środków publicznych, to jej owoc - na przykład książka - powinien znajdować się w publicznym repozytorium, z którego mogą korzystać wszyscy obywatele, którzy przecież zapłacili za tę pracę swoimi podatkami. Tylko że wydawnictwo nie ma interesu, żeby wydać taką pracę. Bo jeśli będzie ogólnodostępna, i to nieodpłatnie, to jej nie sprzeda i nie zarobi.

## **Nie można wyeliminować pośrednictwa wydawnictw, skoro elektroniczne wersje są wygodniejsze i łatwo można je opublikować w internecie?**

- Można, i to jest trzecia możliwość. W Internecie działa projekt o nazwie Arxiv, który dosyć dobrze sprawdza się w dziedzinie nauk ścisłych. To jest repozytorium, do którego ludzie nadsyłają artykuły bez pośrednictwa wydawców. Może tam wylądować wszystko, ale nie wszystko zostanie wyłowione, bo tylko część jest czytana i komentowana. Środowisko naukowe decyduje, co jest dobre, a co nie. Nie można jednak zapominać, że cały system punktowania publikacji musiałby dostosować się do tego nowego sposobu publikowania. Punktacja powinna zostać powiązana z liczbą cytowań, a nie z pismem, w którym ukazał się dany artykuł.

Jest też czwarta opcja, podobna do poprzedniej. Powoływane są wydawnictwa otwarte, które rzeczywiście nie są nastawione na zysk. Takim przykładem jest amerykańska Public Library of Science. Za publikację płaci tu autor - 3 tys. dol. To wbrew pozorom nie tragedia, bo jeżeli naukowiec ma grant, to może jego część przeznaczyć na ten cel. Także dla podatnika nie jest to najgorsze, bo sfinansuje publikację, ale nie będzie musiał płacić - poprzez bibliotekę - za zdobycie periodyku.

Gazeta Wyborcza 14-15 lipca 2012